

JULJUSZ SŁOWACKI

LIRYKI

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA



5ŁD
LIR

2218

TŁO CZ N I A
W Ł. Ł A Z A R S K I E G O
W W A R S Z A W I E.

ZASTRZEGA SIĘ WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU.
WARSZAWA 1920.

S o n e t.

Już północ — cień ponury pół świata okrywa,
A jeszcze serce zmysłom spoczynku nie daje,
Myśl za minionem szczęściem gonić nie przestaje,
Westchnienie po westchnieniu z piersi się wyrывa

A choć znużone ciało we śnie odpoczywa,
To myśl, znów ulatując w snów i marzeń kraje,
Goni za marą, której szczęściu nie dostaje,
A dusza przez sen nawet drugiej duszy wzywa.

Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia,
I spogląda na księżyc i miłe tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzeńki promienia.

Jest serce, co się kryjąc w zakrwawionem łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa głębokie cierpienia.

R. 1826.

Do Ludwika Spitznagla.

Ludwiku!... jak dwie gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie,

Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni
Choć myślą, sercem bliscy — łożem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrenka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twoje rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerzej przyjaźni.
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

Matka do syna.

Synul wstępujesz teraz w trudną życia drogę,
Gdzie już nad tobą czuwać i strzec cię nie mogę,
Rzuciwszy dom, rodzinę, w obce idziesz kraje,
Gdzie ci nieznane serca, nieznane zwyczaje;
Teraz ci zorzy szczęścia jaśnieją szkarłaty
I nadzieja po drodze bujne sieje kwiaty,
Ale gdy wiek dojrzałszy uczucia przemieni,
Gdy ujrzysz się sam jeden na świata przestrzeni,
Gdy ujrzysz się sam jeden w tym obcym ci tłumie,
W którym nikt twoich myśli, serca nie zrozumie,
Wtenczas choć myślą wracaj w ojczyście krainy
I przenieś się na łono kochanej rodziny.
Przypomnij dom, gdzie lata spędziłeś dziecinne,
Przypomnij braci, siostry, zabawy niewinne,
Wspomnij na twego Ojca, co się cieszy w niebie

I co z górnych przybytków spogląda na ciebie.
I Matka, która zniosła smutek rozłączenia,
Czyliż także nie zyska miłości wspomnienia?
Bądź zdrow, synu! ach trudna, trudna życia droga!
Błogosławię cię jeszcze — wezwij w pomoc Boga,
Idź — żegnam cię, mój synu — lecz pamiętaj na to
Że twa cnota za trudy będzie mi zapłatą.

Krzemieniec, 1829 r.

(Wiersz napisany na wyjeździe do Warszawy).

" H y m n.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Ponieście głos, rycerze,
Niech grzmiać wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie — i tam mają duszę.

Noc była... Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy...

Słuchajcie! zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże.

Spojrzał — i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini!
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini
Ten naród — gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzewiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi,
I we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie
Z ciemnej pognębienia toni,
Z popiołów Feniks nowy
Powstał lud — błogosław, Panie!
Niech grzmi pieśń, jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew.
Bogarodzico!

Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

Grudzień, 1830 r.

Duma o Wacławie Rzewuskim.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
Odwiedzał proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,
I stał przed kościołem i kornem bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylectie,
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stał damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdłała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
„Żyj długo — bądź zdrowa, dziewico stepowa.
„Twój sztylet połóż mnie w grobie.

„Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
„Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,

„Bo dzięk mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
„Twój sztylet mieć muszę przy sobie“.

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... o Lachu!...

I nocą obaczył kraj miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
Posnęli, gdy błdził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu,
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błędą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem *)—gdzie orzeł żył biały

*) Dopływ Dniestru.

I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękitcie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał, — z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia; więc każdy oniemiał,
I był jakby głazem pod Cara rozkazem,
A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kolem
Połamał opłatek i spożył.

A potem, jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stuletnim tokajem:
„Żyj, Polsko, wiek sławy!“ Wtem goniec z Warszawy
Przyleciał, — zawołał: „Kraj ożył!“

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg, błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huk, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błądzą przez wrzosa,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą: „Ho urra!... nasz Emir!“

Do Cara pieśń doszła, — wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał, że w kraju, z hordami Nogaju,
Czyngiskan szedł — Batt lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się, — bić — i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,^{*)}
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesółym okrzykiem stanęła w mur szykiem,
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskalów — straż przednią i Dońce.
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże.

I cicho... Wtem bomba śmierciami ciężarna
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali: „O Boże!“

Miasteczko w pow. lipowieckim; w dniu 2 maja 1831 r.
była tutaj bitwa z Moskalami.

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękle wręciami ciskały czerepy,
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ścisnął, w żelazne brał skręty,
Przedniemi nogami na bagniet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny...
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
„Konnica na skrzydła!” zwinęli wędzidla,
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wmieszał. Ów, co był przyczyną,
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale. *)

On może, wśród bólów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty,
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma lzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczyrby nić miecza
Powlekły, jak perły różańca.

*) Orlikowski, kapitan artylerji konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył, jak powyżej, дума opisuje.

A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.
„Leć prędzej po bloniu, odpoczniesz, mój koniu,
Gdy w ziemi staniemy tureckiej“.

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
„Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
„Czyś złaman w kul wiatrze? stój, koniu, opatrzę
„Czy niema gdzie kuli zdradzieckiej?“

„Ha zdrowy!... to dobrze, lecz jechać w noc trudno“.
Więc chatę na stepach upatrzył odludną,
Koń zimno gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony zalegał na ziemi...

I zasnął głęboko, — bo trud go osłabił..
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy do złotej główicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała?
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.

W albumie Marji Wodzińskiej.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach biją smutnie trzód zblakanych
[dzwony;

Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony.
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta.
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół; są wszyscy, są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!...
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.

Młoda Marja do tańca każe stroić lutnie
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: „Ach, kogoś braknie!“ — Tu podkówka utnie
W takt mazurka. — „On umarł“ — sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?“ — „Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze“.

R. 1835.

Rozłączenie.

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska —
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrå sińą błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać —
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą tve oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promieńc świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem —

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć
[głowę,
Jak je widzieć w księżycu, odkreślone kirem;

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
Którą-m wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora —
Zawsze mi świecą — smutno i bladą — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem!
Lecz, choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,

Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Iak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20 lipca 1835 r.

Stokrótki.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczką,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczką.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją... listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdzieś siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział?
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux, d. 21 lipca 1835 r. rano.



Ułamki.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:

Narody ziemskie! Kiedy was porażą,
Kiedy straciecie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów, byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszą leje
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą, i nie mdleje,

Trzy przekleństwa posyłam i duch proroczy,
Co ma, jak szatan, szpony ogniste i skrzydła
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła:
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojej spoczynek był; lecz mi obrzydła,

Bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi,
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni tej — i nigdy więcej
Już nie obudzę ich, bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały, —
I usnąć smutne serce umiały najprędzej.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła:

Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna, ta, co teraz woła:

„O, wy, co w prochu myśli macie i serca:
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!”

H y m n.

Smutno mi, Boże! — Dla mnie na zachodzie

Rozlałeś tęczę blasków promienistą,

Przedemną gasisz w lazuru w wodzie

Gwiazdę ognistą...

Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,

Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy, z podniesioną głową

Stoję, rozkoszy próżen i dosytu;

Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,

Ciszę błękitu —

Ale przed Tobą głębi serca otworzę:

Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali

Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,

Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali

Ostatnie błyski,

Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,

Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkim morzu obłąkany,

Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,

Widziałem lotne w powietrzu bociany

Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę —
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości
Mogił popiołem...
Więc, że mieć będę niespokojne łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzien — a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

*Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksan-
dryą (d. 20 października 1836).*

Grób Agamemnona.

Ułamek z „Podróży na Wschód“.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona ¹⁾
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry ²⁾ głos; ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: »Jak mi smutno!«

Tu po kamieniach z pracowną Arachną ³⁾
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędzywo —
Tu cząbry ⁴⁾ smutne gór spalonych pachną —
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,

1) Agamemnon, z rodu Atrydów, król Argos, po powrocie z pod Troi zginął, zamordowany przez żonę, Klitemnestrę. Mszcząc się śmierci ojca, syn jego, Orestes, za namową siostry Elektry zamordował swą matkę.

2) Elektra, córka Agamemnona i Klitemnestry.

3) Arachne, po grecku: pająk.

4) Cząber lub cząberek, roślina kwitnąca.

Jakby mi chciały nakazać milczenie,

Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owe sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy...

O! Cichy jestem, jak wy, o Atrydzi,

Których popioły śpią pod świerszczów strażą!

Ani mnie teraz moja małość wstydzi,

Ani się myśli tak, jak orły, ważą —

Głęboko jestem pokorny i cichy

Tu — w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie

Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;

Posadziły go wróble lub gołębie,

I listkami się czarnemi zieleni,

I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza.

Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu;¹⁾

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,

Ani w gałązkach jęknęło widziadło —

Tylko się słońcu stała większa szpara,

I wbiegło, złote, i do nóg mi padło.

Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,

Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,

By ją ułować, i napiąć, i drżącą

Przymusić do lez i śpiewu i złości

Nad wielkiem niczem grobów i milczącą

1) Kuszcz — gąszcz.

Garstką popiołów — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój: na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych —
To los mój — senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych! I tak, pełny wstrętu...
Na koń! Chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu, łozem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy —
Ze łą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mnie wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie...
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei¹⁾
Trzeba się memu załamać koniowi,
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla mało wiernych serc — podobne snowi!...
Więc, jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej.

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów,

¹⁾ Termopile, wąwóz, wslawiony bohaterską obroną trzystu Spartan pod dowództwem Leonidasa przeciw całej armji Kserksesa. — Pod Cheroneą zadał Filip Macedoński w r. 338 p. Chr. straszną klęskę wojskom greckim, Termopile więc użyte są tu jako symbol sławy i bohaterstwa, Cheronea jako symbol upadku moralnego i wynikającej z niego klęski.

Bo jestem z kraju smutnego Iłotów¹⁾,
Z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów —
Z kraju, gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół rycerzy żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd w każdym Polaku!
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem!
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I, pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: »Wielu was było?
Zapomnij, że jest długi wieków przedział!«
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?

Na Termopilach — bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza!
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary...

O Polsko! Póki ty duszę anielską
Będiesz więziła w czerepie rubasznym²⁾ —
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,

1) Iłoci = Heloci, tu tyle co: niewolnicy.

2) Czerep rubaszny = czaszka szlachecka.

Póty mieć będziesz hienę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę — ¹⁾
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydnę,
Naga — w styksowym wykąpana mule,
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przełęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie —
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko, lecz ciebie błyskotkami łudzą!

Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą!...

Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny —
Mówię — bom smutny — i sam pełen winy...

Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez węzowe różgil²⁾

¹⁾ Dejanira, żona Herkulesa, dostała od pokonanego przez jej męża centaura Nessosa wspaniałą szatę, która rzekomo posiadała właściwość wzbudzania niezachwianej miłości ku ofiarującej. Gdy ją Herkules za namową żony przywdział, trucizna, zawarta w szacie, sprawiła mu tak silne cierpienia, że kazał się żywcem spalić na stosie. — Tutaj „koszula D.” = przywary i ułomności stanowe szlachty.

²⁾ Eumenidy (po łac. Furje), boginie zemsty, które ścigały zbrodniarzy (np. Orestesa za zabicie matki) i sma-gały ich zwojami węzów.

Boś ty jedyny syn Prometeusza!...¹⁾

Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi...
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna —

Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nade mną, zwinie się w lęk, jak gadzina,

I z ramion ci się odkruszy zeschnięta,
I w proch ją czarne szatany rozchwycą!...
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!

1836 r.

Rozmowa z piramidami.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszą zemstę w tym bułacie
Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdz z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie;

¹⁾ Prometeusz, jeden z tytanów, za wykradzenie ognia niebieskiego, aby nim ludziom na ziemi życie opromienić, skazany został przez Zeusa na okrutne męki: sęp, przykutemu do skały, pożera co dnia wątrobę, która w ciągu nocy odrasta.

Tak by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdz tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha?
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

Do Z. Krasińskiego.

Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary!
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświecił, by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne...
Więc gdzieś wysoko, u Boskiego celu,
Chwała dla Ciebie, o serc wskrzesicielu,
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeśli walka jest? — dałeś mi serce!

Florencja, 4 grudnia 1838 r.

Na sprowadzenie prochów Napoleona¹⁾.

I.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

II.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli?

¹⁾ Zwłoki Napoleona sprowadzono z wyspy św. Heleny do Francji w r. 1840. Pogrzb odbył się w Paryżu dnia 15 grudnia tegoż roku.

Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie?

Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął —
Powiedz — czy trup zadrżał, czy się wzdrzgnął?!

III.

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,

Co mu kamień grobowy rozkruszy —
Ale myślał, że ręka go syna

W tym grobowcu podźwignie, i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze,
I na ojca proch zawoła: — „Ojczy!”

IV.

Ale przyszli go z grobu wyciągać:

Obce twarze zajrzały do lochu!..
I zaczęli prochowi urągać

I zaczęli nań wołać: — „Wstań, prochu!”
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny...

V.

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,

Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy, wstępujcie na góry

I patrzajcie nań wieków oczyma!
Tam, na morzach, mew gromadka szara:
To jest flota z popiołmi Cezara.

VI.

Z tronów patrzą szatany przestępne —

• Car wygląda, blady, z poza lodów —

Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów —
Orły, niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII.

Prochu, prochu — o, leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby wśród odmetu!
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII.

Ale nigdy, o, nigdy — choć w rękę
Miałeś berło, świat i szablę naga —
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną beśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnym obliczem,
Jak dziś, wielki, gdy wracasz tu — niczem.

1 czerwca 1840.

Wschód słońca nad Salaminą.

Pamiętam jedną godzinę żywota —
Leżałem w greckiej łodzi... Spało morze —
A każdy żagiel był jak muszla złota,
W której się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,
Kiedy jej złotą pierś kaika porze —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki
Jak słońce... łódź płynęła z Kalamaki.

I z wolna wschód się oczerwienił siny.

Ponad Pireą powiał wiater świeży,
Wzdrygnęła się łódź wśród morskiej równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to pierwsza fala Salaminy,
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —
Zatrzęsła łodzią, wkoło ją obeszła,
Zagrzmiała — jęła żałośnie — i przeszła.

Wstałem — tańczyły fal różane bryły —
Słońcu się niebios otwierała droga.
Słońce! myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...

Lecz nie — gdzie był tron złoty jego wroga,
Skąd Kserkses patrzył na zniszczenia dzieło,
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem uragać się w duchu
Grobowi, co był rzuconym w ciemnoty,
I morzu, które chodziło w łańcuchu —
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Pałac się w słońca czerwonym wybuchu...
Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty
I marli za kraj rozpaczni obrońce —
Kserkses, na tronie tym ubrany w słońce!...

Anioły stoją.

Anioły stoją na rodzinnych polach
I, chcąc powitać, lecą w nasze strony —
Ludzie schyleni w nędzy i w niedolach

Cierniowemi się kłaniają korony,
Idą i szyki witają podrózne
o miecz proszą, tak jak o jałmużnę.

Postój! o postój, hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
— To nic... to mojej matki grób zhańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.
Koń dobył iskier na grobie z marmuru
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

Testament mój.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami —
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny;
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z ducha-
[mi —
A, jak gdyby tu szczęście było, idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach prze-
[każcie,
Żem dla ojczyzny sierał moje lata młode —
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę.

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,

Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świe-
[tny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą.
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Niech przyjaciele moi siądą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb, oraz własną biedę;
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę —
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec —
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam małą tu družbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść? Taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi, żywemu, na nic — tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Tak mi, Boże, dopomóż.¹⁾

I.

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błysnieniu jednym zmartwychwstała we
mnie

Cała, gotowa do czynu i święta.

Więc niedaremnie — o, nienadaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łożel!
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

II.

Mały ja, biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje
I ze mnie piorun mieć będą czerwony
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

•III.

Zato spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskreszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęśny — jak to, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

IV.

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać...

¹⁾ Wiersz ten napisał Słowacki pod wrażeniem pierwszej rozmowy z Andrzejem Towiańskim. (13 lipca 1842 r.)

Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać;
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę,
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

V.

Widzę wschód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony,
Idę z przestrożą. Kto żyw — pójdzie za mną,
Pójdzie, chociażbym, wszedłszy, szedł przez morze...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VI.

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłymi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien Ja pieczęć położę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VII.

Lecz tym, co idą, nie przez czarnoksiężstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje;
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrzeć nie może...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VIII.

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.

Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Druk. 30 lipca 1842 r.

Modlitwa.

(Wyjatek).

We łzach nasze ręce podnosim do Ciebie,
Panie, odpuść nam winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i niebie:
Przez nas czyni swoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na niebiesiech święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla wad naszych i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą mocarzy,
A duchaśmy nie dali.
Nie poznaliby ojce naszych smutnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: — nie ciśnij!
Duchy jak gołębice rozleciały się w chmury,
Zatrwóż, niech wróć! błysnij!
W tej błyskawicy, Panie, obaczmy się zdaleka,
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, niby anioł, w człowieka,
I stanem ludem świata.

Do matki.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ulaskawionych;

Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, żebym ci wróceniem mojem lat przysporzył;
Mów, kiedy cię pytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój na sztandarach, jak pies, się położył,
I, choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... Więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli, konający,—nie iść na obrozę,
Lecz woli zamiast hańby choć czarę rozpaczy!

Przebacze mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczęłusił,
Przebacz... bo, gdyby nie to, że opuścić Boga
Trzebaby — toby ciebie pewno nie opuścił!

Do Ludwiki Bobrównej.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki:
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymusza,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaproszą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,

Niech oczy całe pokażą niebiosą
Aż do błękitu dusz i jeszcze dalej.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie: —
Że, choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie, Lolka ma oczy niebieskie.

W pamiętniku Zofji Bobrównej.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo, kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać —
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,

Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba!
Wróc mi więc z kraju taką — jakby z nieba!

Paryż, 13 Marca 1844 r.

* * *

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię, a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie:
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie;
Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

A raczej powiem, — gdy się żywot zmierzcha,
Dusza - jaskółka daleko od ziemi,
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha,
Z oczkami w światło rozweselonemi.

Baranki moje...

Baranki moje,
Zaświtał czas:
Nad piękne źródło
Powiodę was;
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pał.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucha,
Ozłocił twarz:
Bogiem promienny,
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła,
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś, wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy —
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

„Cóż to — zapyta — są za bezimiennie,
Którzy na dawnym wstali mogilniku?

Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słyhać krzyku!

„Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą
I ogniem biją niebieskim w pancerze“.

Wierzę.

Wierzę w Boga Ojca Wszechmocnego,
Ojca naszego,
Przez któremu jest duch rodzony,
Twórczością i wolą uradowany,
Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,
Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
Żywot ku Ojcu prowadzi,
A urodził się z Dziewicy
Przez natchnienie Ducha Świętego
Za śmieniem się ludzkiej natury.

I rozpięty był na krzyżu;
Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,
A po trzech dniach zmartwychwstał,
I niesion jest z ciałem w obłoki,
Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha Świętego,
Trzecią Świętej Trójcy osobę,
Nieśmiertelną i wszechmocną,

Z Ojca i Syna urodzona,
Równą Ojcu i Synowi,
Przez którą jest napełnion świętością.

Wierzę w święty Kościół Powszechny,
I w Najwyższego Ducha pasterstwo;
Wierzę w świętych duchów związek,
Widzialnych i niewidzialnych —
Wierzę w świata przemienienie,
W ostateczne zmartwychwstanie
Ciała wszelkiego na ziemi.
W Królestwo Boże widzialne,
Przychodzące z przemienieniem
Natury naszej cielesnej,
Z przełamaniem grzechu wszelkiego —
Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

Młodości, uwierz w sny...

Młodości, uwierz w sny czyste i złote,
Które nad formy przelatują stare,
A masz broń pewną na świata ciemnotę,
Masz we snach twoich już stworzoną wiarę.

Patrz nad grota...

(Urywek).

..... Patrz nad grota
Uwieńczona wstążką złotą,
W którą polnych róż natknięto,
Wydaje się jakąś świętą,
Jakąś cudną mgieł dziewicą,

Duchem stepów... czarownicą,
Stepy te koronującą.
— Niech ją wiatry-stepów trąca
A jak tęcza wnet uleci;
— Niech noc spadnie — a zaświeci
Jako księżyc... taka biała,
Albo ogniem spłonie cała,
Taka w oczach, patrz, ognista,
Albo w źródło się zamieni
Kryształowe... taka czysta.
Lub jak gwiazda w sto promieni
Rozleci się duch niewinny,
A z promieni każdy inny
I w jasności i w kolorze...
Pod nią stepy... stepy... morze,
Co falami w słońce idą.
Ona traw Oceanidą
Bez łabędzi wodnych płynie,
Taki wietrzny w tej dziewczynie
Duch i taka czarów siła.....
.....

Gdy noc głęboka wszystko uśpi...

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja ku niebu podniósłszy ducha i słuchanie,
Z rękami wzniesionemi na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Pode mną noc i smutek — albo sen na ziemi,
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga,

Chcę biec — lecz, kiedy na blask gwiazd wynidę,
Gwiazdy mię drwiące pytają, gdzie idę.

O gwiazdy zimne, o świata szatany —
Wasze mię wreszcie niedowiarstwo zwali...
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągłe powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali tylko serce moje!...

Mój król, mój Pan — to nie mocarz...
Mój król i mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten — na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku — duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw czy gdzie nad światem?
Wiem, że duch taki jest — i dość mi na tem.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze,
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję — klęknię i na twarz upadnę.

Teraz pod żadną światową się władzę...

Teraz pod żadną światową się władzę
Nie mogę poddać — nie przeto zem dumny,
Ale że duch mój bezoczny prowadzę
Od wielu wieków przez słońca i trumny.

Anioł ognisty, mój anioł lewy...

Anioł ognisty, mój anioł lewy
Poruszył dawną miłości strunę...
Z tobą! o! z tobą, gdzie białe mewy,
Z tobą pod śnieżną sybirską trunę,
Gdzie wiatry wyją tak jak hieny,
Tam, gdzie ty pasasz na grobach reny.

Z grobowca mego rosną lilije,
Grób jako biała czara przesłiczna —
Światło po nocy z pod wieka bije
I dzwoni zeicha dusza muzyczna.
Ty każesz światłom onym zagasnąć,
Muzykom ustać, duchowi zasnąć...

Ty sama jedna na szafir święty
Modlisz się głośno — a z twego włosa
Jedna za drugą, jak dyamenty,
Gwiazdy modlitwy lecą w niebiosą.

Do Autora „Skarg Jeremiego“.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodził po łąkach, pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: „Wieczna!“

Jeżeli, drogę tęczami znacząc,
Wyżej poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i, płacząc,
Wołasz: „We-we!“

Jeżeli z kwieciami ona swawoli
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty, jak dziecię, wiesz, co ją boli,
I wołasz: „Boże!”

Gdy owies polski, jak srebro, brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłós,
Słyszysz Maryję pod bramą z tęczy
Baranka głós.

Słyszysz i mówisz: „Głośniejszy, niż święci,
Głośniejszy, niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianozęci
Baranek mój.

„Trawki nie skubie, kwiatów nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę
I wciąż się skarży jako dziecina:
„We-we! — We-we!”

Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność —
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie — niewinność“.

Paryż, w listopadzie, 1847 r.

O nieszczęśliwa! o uciemiężona!

O! nieszczęśliwa! o! uciemiężona
Ojczyzno moja, raz jeszcze ku tobie
Otworzę moje, krzyżowe ramiona,

Wszakże spokojny, bo wiem, że masz w sobie
Słońce żywota.

I wstał Anhelli z grobu...

I wstał Anhelli z grobu — za nim wszystkie duchy,
Szaman, Eloë... cała ćma z grobów wstawiała
I wszystkie brały dawno porzucone ciała.

A Sybir był zaćmiony jakby zawieruchy
Ciemnemi i powietrze się ciągle mieszało
I chmury szły i grady błyskały i grzmiało.

Wstaliśmy i ku Polsce szli — a na cmentarzu
Zatrzymał Szaman ową straszną duchów zgraję
I spytał głośno: Kogo z mogiłnych nie staje?

A wszyscy byli; — straszny i zimny grabarzu
Śmierci, gdzież jest twój oścień, gdzie zwy-
cięstwo twoje?
Wszyscyśmy byli—i krwi naszej poszły zdroje.

Sowiński w okopach Woli.

W starym kościółku na Woli
Został jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I wrogom się broni szpada;
A wokoło leżą wodze
Batalionów i żołnierze,

I potrzaskane armaty
I gwery: wszystko stracone!

Jenerał się poddać nie chce,
Ale się staruszek broni,
Oparłszy się na ołtarzu,
Na białym Bożym obrusie,
I tam łokieć położywszy,
Kędy zwykle mszały kładą,
Na lewej ołtarza stronie,
Gdzie ksiądz Ewangelię czyta.

I wpadają adjutanty,
Adjutanty Paszkiewicza,
I proszą go: „Jenerale,
Poddaj się... nie gin tak marnie”.
Na kolana przed nim padli,
Jak ojca własnego proszą:
„Oddaj szpadę, Jenerale,
Marszałek sam przyjdzie po nią“... •

„Nie poddam się wam, panowie —
Rzecz spokojnie staruszek —
Ani wam, ni marszałkowi
Szpady tej nie oddam w ręce,
Choćby sam car przyszedł po nią,
To stary nie oddam szpady,
Lecz się szpadą bronić będę,
Póki serce we mnie bije.

Choćby nie było na świecie
Jednego już nawet Polaka,
To ja jeszcze zginąć muszę

Za miłą moją Ojczyznę,
I za ojców moich duszę
Muszę zginać... na okopach,
Broniąc się do śmierci szpadą
Przeciwko wrogom ojczyzny,

Aby miasto pamiętało
I mówiły polskie dziatki,
Które dziś w kołyskach leżą
I bomby grające słyszą,
Aby, mówię, owe dziatki
Wyrósłszy wspomniały sobie,
Że w tym dniu poległ na wałach
Generał — z nogą drewnianą.

Kiedym chodził po ulicach
I śmiała się często młodzież,
Żem szedł na drewnianej szczudle
I często stary utykał,
Niechże teraz mię obaczy,
Czy mi dobrze noga służy,
Czy prosto do Boga wiedzie,
I prędko tam zaprowadzi.

Adjutanty me, fircyki,
Że byli na zdrowych nogach,
To też usłużyli sobie
W potrzebie — temi nogami,
Tak że muszę na ołtarzu
Oprzeć się człowiek kulawy,
Więc śmierci szukać nie mogę,
Ale jej tu dobrze czekam.

Nie klękajcie wy przede mną,
Bo nie jestem żaden święty,
Ale Polak jestem prawy,
Broniący mego żywota;
Nie jestem żaden męczennik,
Ale się do śmierci bronię,
I kogo mogę zabiję,
I krew dam — a nie dam szpady...”

To rzekł generał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I szpadą się jako fehmistrz
Opędzał przed bagnetami;
Aż go jeden żołnierz stary
Uderzył w piersi i przebił...
Opartego na oltarzu
I na tej nodze drewnianej.

*W roku 1831, generał Józef Sowiński miał powierzoną
obronę Woli pod Warszawą; zginął dn. 5-go września.*

Z „Beniowskiego”.

(Wyjāti).

Z PIEŚNI III-ej.

Roję,

Śnię, tworzę, harfy używam lub bicia,
I to jest moja poetyczna droga;
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, On widział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów, w przepaść lecących; te chóry
On słyżał, gdyśmy byli z Bogiem sami.

Nie zwiódły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mnie w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć —
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć,
Co dnia, krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć —
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać!

On — i pustyni gwiazdy lazurowe —
I zachodzące nad morzami słońce —
I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni, te, cierpiące...
Milcz, serce, albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone!
Uderzam ciebie w złości. — Milcz, szalone! —

Z PIEŚNI IV-ej.

Młodości! Każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świetle!
Niech szumi wino w tej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie saturnowy wąż się z ogniów plecie.
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę, pólśenny!
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny,
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruję mi znów, szumiąc, liść jesienny...
Naprawdę serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni¹⁾ — znów jestem twoim!

Patrzaj! Powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak, i u nóg leżę...
O, nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze!
Jam czysty! — Głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś, w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się leż spodziewał:
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina —
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśni się patrzaj tę, co jest z opalów²⁾,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina,
I pomyśl, czy ja duszę mam powszednią,
Ja, co, przebiegłszy świat, kochałem jedną?!

Twój czar nade mną trwa. — O, ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca

¹⁾ Ludwika Śniadecka. ²⁾ T. j. mieni się ciągle,
jak opal.

W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoję miałem, nakształt słońca,
W pamięci mojej! — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a lza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła.
Twa dusza знаła to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwnie
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kresląc,
Staliśmy, jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli naga,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpaczonym czynem skończyć żywot chory,
Lecz, uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie...

Pierwszy to i raz ostatni, o miła,
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica,
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różycą
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! — Odejść nie mogę, choć słyszę
 Wołające mnie duchy w inną stronę...
Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem, kołysze
 I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
 Wyrok, łamiący mnie między stracone...
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! Drugi raz cud się powtórzy:
 Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz do zbielełej róży
 Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży —
 Róże uwiedły — czara wychylona —
I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...
Już pożegnałem cię... Jeszcze: bądź zdrowa!

Z PIEŚNI V-ej.

Chodzi mi o to, aby język giętki
 Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędkie,
 A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga nimfy, miętke,
 A czasem piękny, jak aniołów mowa —
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć: zamglić ją tęsknotą,
 Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
 Potem — nadętą dawnych przodków pychę,

Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał — toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszysz, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał;
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Boże! Kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, szczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma —

Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże,
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogily głosem wołają straszliwym,
Szarańczą tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie —

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie, albo na Golgocie —

Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani, rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach,
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie — ja sędzę, że znajdzie, i życzę
Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co, jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety — ¹⁾

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza;
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kielza —
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków —
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łąza,
Próżno stracona przed kościoła progiem...
Przed Nim upadam na twarz: On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory, co się Bogiem ze mną mierzył? ²⁾

¹⁾ T. j. kości rycerstwa, poległego na polach Ukrainy w obronie ojczyzny, są jakby sztandarami, wskazującymi, jak należy pojmować wielkość Boga.

²⁾ „Zwiastun pokory” — bo Mickiewicz w „III części Dziadów” pokorze tylko przyznaje łaski u Boga („Pan ma-

Ja go chcę jeszcze... w głowę tnę piorunem,
Tak, jakem wczora go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? I on ma piorunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje — ale głowy zwiesił,
Bo wie, że skinął ja — i wieszczą wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmiały jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały...

Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo!

Zaprawdę... Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że, jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury...
Już, przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiej góry¹⁾,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję — i stanąć za mną — lub pode mną...

luczkiem objawia, czego wielkim odmawia"); „ze mną mierzył“ — aluzyja do improwizacji Mickiewicza i Słowackiego na uczcie dn. 25 grudnia 1840 r. w Paryżu. — Słowacki przedstawia tu nie prawdziwy przebieg uczty tej, lecz kłamliwy jej obraz, podany w artykule „Improwizatorowie“ w „Tygodniku literackim“ z 22 lutego 1841 r., którym uczuł się dotkniętym.

¹⁾ Góra Królowej Bony w Krzemieńcu, miejsce zabaw Słowackiego w czasach dzieciństwa

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mnie kochać powinna!

Jeśli wy bez serc, wy — to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo¹⁾, płyn przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary²⁾
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy...
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy“³⁾.

Ha — ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie portowa wieża?
Lub w sławiańszczyźnie bez echa toniecie⁴⁾,
Lub na koronę potrójną papieża,
Piorunem myśli podniesione, śmiecie
Gnacie. Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójde z wami waszą drogą kłamną —
Pójde gdzieindziej — i lud pójdzie za mną!

¹⁾ Krzemieniec leży nad rzeką Ikwą

²⁾ „Niemen stary“ = Mickiewicza.

³⁾ Tak miał powiedzieć do Słowackiego Mickiewicz
wedle przedstawienia „Tyg. literackiego“.

⁴⁾ Ałuzja do pierwszej części wykładów Mickiewicza
w *Collège de France*, przeważnie zajmującej się literaturą
serbską i czeską.

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce — przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć — ja będę rozgrzewał;
Ja go powiodę, gdzie Bóg: w bezmiar — wszędzie —
W me imię będzie krew i łzy wylewał...
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

Ha, ha! Odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mleczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu —
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu
I pokazanym fałszem śmierć ci żadam,
Patrzając na twoją twarz, zieloną w nocy,
Jak księżyc. — Słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że, jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska,
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co, jak piorun, błyska...
Tak mówiąc — ja, syn pieśni, syn królewski,
Padłem — a tyś już następował zbliśka
I nogą twoją, jak na trupie, stawał...
Wstałem. Jam tylko strach i śmierć — udawał!

Znajdziesz mnie zawsze przed twojem obliczem,
Niepowalonym, hardym i strasliwym...
Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
Lecz, choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym,
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym...

Kocham lud więcej, niż umarłych kości.
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja
I takie myśli moich czarnoksiężtwo.
Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przede mną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
Zabiję — trupa twego będę włóczył,

A sąd zostawię wiekom. — Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze.
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych—bogi.

Z PIEŚNI VII-ej.

Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród, i w trumnie grające zepsucie...
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewiem,
Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy — wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham i — i to słyszę,

Co muszą Boscy słyszeć aniołowie —

Jakąś okropność przyszła, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie

Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi),
Ludy, bo wkrótce będziecie jak Bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,

To rozwiązaniem będzie... już na wieki.

A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?

Z was będą góry, doliny i rzeki,

I morza, które wiatr na słońce goni;

Z was port zraty będzie i opieki,

Z was będą cienie, jak morza rozlane,

Z was nad morzami słońca latarniane!...

Czujcie! bo tętno już waszego chodu

W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.

Na górach z cegieł i na igłach z lodu

Słuchałem... a duch swoją wyobraźnię

Przestroił wówczas na harfę narodu,

Me nienawiści dawne i przyjaźnie

Poddając twardej jedności... dlatego

Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, Cheruby, co miecze z łuczywa

Macie, z papieru złotego przyłbice,

Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,

I wami sławy wysokiej kaplice

Odszyldwachuje... przed tym, co się zrywa

Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,

Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!

Ja jestem gwiazdą życia, co o świetle

Skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę.—Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie,—ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić, i w błyskanie,
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza; ja tu czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu na księżycu rumianego sierpie
Piękności dawnych nieśmiertelna córa
Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przede mną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
Dębów umarłych wnętrza — i kaplice,
Rumaki białe w polach wystrzelone —
Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.
Ariostby patrzył sam na te szalone
Miłostki, boje, szturm, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar — fantazja służy.

Zaczarowanych palm tu niema wcale;
Dęby i sosny i brzozy rodzime,
Odbite w stawów podolskich kryształach,
Reprezentują mi nową Solimę.

Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
Dla prawdy nagiej wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Z „Beniowskiego“.

Fragment.

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tem niebie, które żaden dym nie kazi,
W tej róży polnej, co się na świat śmieje,
Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda
Jak róża — i upłynie — jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niej spała uczuć Heloiza,
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnej róży i narcyza...
Idź spać—gdy z trumny jej podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przekłęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki

Cefizu¹⁾, i tam leżą w modrej fali...

Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu

Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,

I słyhać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,

Że mam leż pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć tak — straszno było...

Lecz to już przeszło... widma poznikały.

Do Ciebie, Matko moja, twarz obrócę;

Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,

Z obłądnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,

Lecz bez łzy próżnej — Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie mi upadł na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;

Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,

Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o tym...

Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrójcu oliwy.

¹⁾ Rzeka w Grecji.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Ga-
zy... ¹⁾

Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje, tam, gdzie same głązy,
I słyhać tylko fal libijskich wrzaski
Eschyłowskiemi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię
I słyszał je ten laurów las, co drzymie.

Ponad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach się bieją kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrzał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie.
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból twój stłumić pozdrowieniem: Avel

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;

¹⁾ Miasto w Syrii.

W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo leż nie słyszał
.
.

Pieśń konfederatów

z dramatu „Książd Marek“.

Nigdy z królami nie będziem w aljansach ¹⁾,
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach ²⁾
Słudzy Maryi!
Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające —
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
Wszak póki on był z naszymi ojcami —
Byli zwycięzce!
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie ukłękniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu wydadzą.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,

¹⁾ Aljans — przymierze. ²⁾ Ordynans — rozkaz.

Ale w grobowcach my jeszcze żoldacy,
I hufiec Boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten *de profundis* ¹⁾ z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.
Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy:
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

¹⁾ Z głębokości (początek żałobnej pieśni kościelnej).

SPIS RZECZY.

	str.
Sonet	3
Do Ludwika Spitznagla	3
Matka do syna	4
Hymn	5
Duma o Wacławie Rzewuskim	7
W albumie Marji Wodzińskiej	13
Rozłączenie	13
Stokrótki	15
Ułamki	16
Hymn	17
Grób Agamemnona	19
Rozmowa z piramidami	24
Do Z. Krasińskiego	26
Na sprowadzenie prochów Napoleona	26
Wschód słońca nad Salaminą	28
Anioły stoją	29
Testament mój	30
Tak mi, Boże, dopomóż	32
Modlitwa (Wyjątek)	34
Do matki	34
Do Ludwiki Bobrównej	35
W pamiętniku Zofji Bobrównej	36
Baranki moje	37
Kiedy prawdziwie Polacy powstana	38
Wierzę	39
Młodości, uwierz w sny	40
Patrz nad grota... (Urywek)	40
Gdy noc głęboka wszystko uśpi	41
Dajcie mi tylko jedną ziemi milę	42

Mój król, mój Pan — to nie mocarz	43
Teraz pod żadną światową się władzę	43
Anioł ognisty, mój anioł lewy	44
Do Autora „Skarg Jeremiego“	44
O nieszczęśliwa! o uciemiężona!	45
I wstał Anhelli z grobu	46
Sowiński w okopach Woli	46
Z Beniowskiego (Wyjutki)	
Z pieśni III-ej	49
Z pieśni IV-ej	50
Z pieśni V-ej	53
Z pieśni VII-ej	59
Z Beniowskiego. Fragment	62
Pieśń konfederatów z dramatu „Książd Marek“	65
